



o zmartwionych oczach i płaskim jak zsuwnia czole, raz po raz lekko pomachiwał ręką w powietrzu, żeby odgonić dym. Nawet barman wstrzymał się na moment od pucowania szkła i zamarł w bezczynności. Wszyscy czterej maksimum uwagi skupiali na audycji, wpatrując się w odbiornik jak w zaczarowaną szkatułkę. Szumiące niczym wodospad fale Russkiego Radia słyhać było bardzo niewyraźnie. Nie to było jednak teraz najistotniejsze. Ważne, że nadawano akurat jakieś komunikaty wojskowe czy też bezpośrednie relacje z frontu. Wiadomo – najpierw krzepiące słowa prowadzącego, potem dowódcze wrzaski, w tle wystrzały z cekaemów, a na koniec orkiestralna nuta z okrzykiem „Zwycięstwo!” na ustach chóru. Brakowało już tylko „Patriotycznej pieśni” na deser. Jak by nie patrzeć, naród oczekiwał samych pomyslnych wieści.

Widok czterech słuchaczy nie przykuł mojej uwagi na zbyt długo. Spojrzałem w głąb sali i osłupiałem. Tym razem zbito mnie z tropu już na dobre. Jeszcze dokładniej rozejrzałem się wokoło, potem jeszcze raz i jeszcze raz, bardzo wnikliwie, na spokojnie, nie chcąc wyciągać żadnych przedwczesnych wniosków, ale wszystko wskazywało na to, że nie mogło być inaczej niż tak, jak to sobie wyobrażałem.

Jak rażony piorunem rzuciłem się pędem przez wejście, odpychając niechcący wchodzącą do środka osobę, i z niespotykaną dotąd werwą biegłem po schodach, przeskakując co dwa stopnie, parę razy nawet co trzy, tak, aby jak najszybciej znaleźć się na górze. Znów dałem się wyprowadzić z równowagi i znów byłem cały w nerwach. Usłyszałem za sobą donośny głos wołającego mnie nie wiadomo po co barmana. Z rozpędu uderzyłem w twarde, przesuwane drzwi i wybudziłem trwającego w półśnie Szarłatana, który, widząc całe zajście, instynktownie złapał za giwerę, będąc gotowym jej użyć.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, zacząłem wołać na całe gardło:

– Rodion! Rodion!

Ale Małafiejew przepadł bez jakiegokolwiek śladu. Nie było słyhać już niczego poza nieustającym echem odgłosów walących w oddali dział. Ani oddalającego się stukotu obcasów, ani żadnych innych dźwięków, które mogłyby wskazywać na to, w którą stronę udał się mój przewodnik. Przepadł, a mnie ogarnęła trwoga, bo nie wiedziałem, co robić.

Z chaotycznych rozmyślań wyträcił mnie żelazny chwyt dłoni Szarłatana, który szarpnął moim ramieniem niczym worem z kartoflami.

– Próbujemy nawiać bez płacenia? – powiedział gniewnie.

Nerwy drgnęły mi podwójnie, czerwona lampka zapaliła się pod czerepem. Najpierw Orłowski, potem Małafiejew, a teraz jeszcze ten grab zaczął włożyć mi na głowę.

– Puść! – krzyknąłem. – Puść, bo zawołam policję!

– To ja tu zaraz zawołam policję – wrzał stróż, nie przestając trzymać mnie za rękaw. – No, idziemy!

Ale na żaden spacer z nim nie miałem ochoty. Z trudem wyszarpnąłem się z uścisku i momentalnie taki demon we mnie wstąpił, że zamiast czym prędzej uciekać, spróbowałem przynajmniej wpaść na trop uciekiniera, wybałuszyłem oczy na swojego prześladowcę i nastroszyłem się niczym dzika bestia gotowa do skoku i uduszenia ofiary. Pięści mimowolnie zacisnąłem aż do chrzęstu stawów, ścięgnią szyjne napięły się. Poczułem, jak krew pulsuje mi w żyłach. Zdecydowanie przestałem nad sobą panować i byłbym go uderzył, gdyby nie ostatek mojej wrodzonej rezolucji. Co prawda, ja zdążyłem pohamować swoje spontaniczne reakcje, zanim wywinąłem coś jeszcze gorszego, ale Szarłataniowi jakby wciąż było mało. On również wściekł się nie na żarty i ponownie



spróbował mnie spacyfikować. Na jego nieszczęście mocno przecenił swoje siły. Wolną ręką ponownie złapał mnie za rękaw koszuli. W drugiej wciąż trzymał strzelbę. Naprawdę nie wiem, jak to się w ogóle mogło stać, ale jednym, zdecydowanym pociągnięciem w przód wytrąciłem go z równowagi, przez co o mały włos nie wylądował twarzą na bruku, po czym sam przeszedłem do kontrataku. Chciałem chwycić go za drugą rękę, aby nie próbował mnie ogłuszyć strzelbą, i niespodziewanie uchwyt mój spoczął właśnie na jej kolbie. Zamachnąłem się nie za lekko, odwinąłem do tyłu i poczułem ciężar bezwładnie opadającego w moje ramiona Szarłatana.

Upadliśmy na brudną nawierzchnię. Rękaw mojej koszuli rozdarł się na dwie części. Wstałem i pospiesznie wykonałem dwa kroki do tyłu, bo oto doznałem kolejnego szoku. Amok, który mną zawładnął, był chyba najbardziej nieprawdopodobną rzeczą, jaka kiedykolwiek spotkała kogokolwiek z mojej strony. Szarłatan leżał na wznak, z rozbitym łbem, przyklejony do czarnego, połyskującego od wilgoci asfaltu. *Chryste, zabiłem go* – przeraziłem się. Szybko bowiem dotarło do mnie, że oto w przeciagu zaledwie paru sekund stałem się przestępcą. Kompletnie zapomniałem w tym czasie o Małafiejewie.

Nie wiedząc, co robić, nie wiedząc, dokąd się udać, czmychnąłem jak zając wzdłuż głuchej ulicy, słysząc coraz to głośniejsze nawoływania dochodzące z baru. Zawirowało mi w głowie, a biegnąc, potykałem się o najmniejsze przeszkody. Po pewnym czasie byłem z powrotem na skrzyżowaniu Czelabińskiej i łamańca językowego. Gdy przystanąłem w świetle lampy, natychmiast przeleciała przeze mnie płochą myśl, że skoro stałem się bandytą, powinienem unikać światła, tak jak zwykle postępują bandyci. Żywo podskoczyłem do ściany

i przywarłem do niej niczym karaluch. Przez lekko rozwarte usta wydobywał się stukot moich zębów.

Odetchnąłem pełną piersią, przymknąłem z ulgą oczy, a nogom pozwoliłem zelżeć. Przykucnąłem. Schowany w mrocznym kącie rozmyślałem o tym, co się wydarzyło. Nijak nie potrafiłem się jednak skupić, podobnie jak miało to miejsce w barze, nim spostrzegłem zniknięcie Małafiejewa. Zasiedziałem się w tej toalecie dosyć długo i najwyraźniej speszony telefonem Soroki przewodnik właśnie wtedy musiał dać nogę, podejrzewając wszystkich dokoła o zdradę. Jak by nie patrzeć, dałem mu na to mnóstwo czasu. Mógł też przecież wyjść w chwili, gdy rozmawiałem z Sawieljewem. Gdyby przechodził obok mnie, pewnie wcale bym go nie zauważył. Zdenerwowałem się. Możliwe też, że – zakładając wariant, w którym to on był zdrajcą – wyszedł dlatego, iż zdemaskowałem jego spisek i nie chciał mieć ze mną już nic wspólnego. Albo poszedł na czerezwyczałkę, albo dał sobie z tym wszystkim spokój. *Nie wiem, nie wiem... Możliwości jest tak wiele... Do diabła, co za afera! Co za chryja* – powtarzałem sobie w kółko, błędząc w myślach. Prawdą jest, że gdy człowiek popełni jeden niewinny błąd, reszta sama zaczyna rosnąć w oczach.

Podniosłem się z miejsca i spojrzałem na południe. Był środek nocy, niebo wydawało się mroczne i przerażające jak jeszcze nigdy dotąd. Ruszyłem przed siebie wzdłuż Czelabińskiej. *Oto ta niespokojna noc, której się obawiałem. Najczarniejsza, jaką widziałem* – tłukło mi się po głowie. Droga coraz bardziej zaczynała przypominać odludzie. Posterunki były tu rzadko rozmieszczone, przestrzeń otwarta, budynki niższe, co przypominało mi o dodatkową gęsią skórkę. Z lewej miął sobór, niezbyt wyniosły, czerwony, zbudowany w nowoczesnym stylu i na wzór jakby ostrosłupa, a zaraz obok



niego plac z parkingiem i otaczający go kompleks budynków. Kiedyś znajdowała się tu przynależąca do owego soboru klinika psychiatryczna. Wojsko chciało tu zrobić koszary, jednak porzucono te zamiary, bowiem Cerkiew nie wyraziła na to zgody. Duchowni nie chcieli, aby profanowano święte miejsce, licząc na cud, że miasto zostanie utrzymane w naszych rękach i że będzie można tu znów kiedyś powrócić. Mrok gęstniał, a ja wciąż oddalałem się od światła, krocząc ku narastającym ciemnościom. Mijałem pierzeje budynków z licznymi przewrami, a to bramy, a to garaże, zaś obok tego wszystkiego ciągnął się długi sznur deptaków, którymi niegdyś spacerowali ludzie. Zniszczony hydrant, kapliczka i znów posterunek z czuwającymi żołnierzami.

Jak dotąd nikt mnie nie zatrzymał. Wiedziałem, że nie miałem się tu czego obawiać. Za bardzo mnie rozpoznawano. Wreszcie wyrósł przede mną rozjazd, w którym oficjalnie kończyła się Czelabińska, odchodząc tym samym w trzy odnogi – ulicę świętej Paraskiewy-Piatnicy, Pierwomajską i Prospekt Swobody. Mnie najbardziej (a w zasadzie wyłącznie) interesował ten ostatni. Rozjazd upiękuszono rondem w kształcie wysepki, niegdyś zielonej, udekorowanej kwiatami, bżem, dziś posępnej i szerniałej jak ten zapuszczony ogród w budynku sztabu generalnego. Wysepkę wykonano na kształt wzniesłego pagórka, zwieńczonego wysokim na około piętnaście metrów cokołem. Stał na nim generał Kutuzow we własnej osobie. Wielkopański, przystrojony jak bożonarodzeniowa choinka w ordery, gwiazdziste medaliony i spoglądający na północny zachód w kierunku Moskwy. Szkoda tylko, że kwaśne deszcze zeszpeciły mu jego obłą fizys. Szkoda, że cała postać zaszła pyłami oraz popiołem. Szkoda, że pewien agitator wymalował mu kroczę w sprośny sposób, a jeszcze bardziej szkoda, że nikt się tym w ogóle nie przejął.

Prospekt Swobody stanowił pierwszą odnogę w lewo. W oddali za rondem majaczył niewyraźnie wiadukt kolejowy oraz stojący na nim wykolejony pociąg towarowy. Porzucono go tu przed paroma tygodniami, gdy pocisk dalekosiężny rozsadził lokomotywę, zamieniając ją w wielką kupę złomu. Za wiaduktem zaczynało się spore osiedle. Jego załączek stanowiła ulica o dość ironicznej nazwie – Pieczalna. Nie bez kozery tak ją nazwano. Zlokalizowano przy niej budynki administracji skarbowej oraz zakładu karnego, a przy jej końcu rozpościła się największy cmentarz komunalny w mieście.

Byłbym już wszedł na rondo, rozpoczynając swój długi, morderczy marsz, gdyby nie kolejna niespodzianka. Oto w oddali za plecami zajaśniały światła samochodowe. Terenowe koła łożnika z łatwością przebijały się przez grudy gruzów zalegających na jezdni, wyboje i koleiny, i gwałtownie zahamowały blisko miejsca, w którym stanąłem, spostrzegłszy poświatę.

– Ach, tu jesteście, Pawluczenko! – usłyszałem znajomy głos. – Dokąd to, dokąd?

Był to major Suszka. Siedział z przodu jako pasażer. Zobaczywszy mnie, wychylił się przez okno i pozdrowił gestem uniesionej dłoni.

– Dobry wieczór, Władimirze Bogdanowiczu – odpowiedziałem pewnie. – Pędzę na komisariat przy Tamożennej.

– Cóż za zbieg okoliczności! My także się tam udajemy. Zapraszam do środka!

W jego głosie było jednak coś dziwnego. Czułem, że był inny niż zwykle, więc zapobiegliwie odmówiłem:

– Nie, dziękuję. Przespaceruję się.

– A cóż wam się stało? Wyglądacie, jakbyście wyszli spod ziemi.

Rzeczywiście, i ja wyglądałem nieco inaczej niż zwykle: i ślady szarpaniny z Szarłatanem, i spocona koszula klejąca



się do ciała, i rozdarty rękaw. Zupełnie nagle przypomniałem sobie też o tym, że przecież nie miałem na sobie marynarki. Musiałem ją zostawić w barze. To pewnie dlatego barman mnie wtedy wołał.

– Towarzyszu majorze – odparłem oszczędnie – miewałem lepsze dni.

– Nalegam – nie dawał za wygraną Suszka. – Kapralu, pokażcie profesorowi drzwi.

W tym momencie dotarło do mnie, że nie było to grzecznościowe zaproszenie, ale rozkaz, i że nadziałem się jak na widelec, idąc sobie tak beztrosko i niepomny wydarzeń, które miały niedawno miejsce. Tyłne drzwi otworzyły się, po czym z samochodu wysiadł młody kapral w średniej wielkości oficerówce i z ciężkimi kamaszami na nogach. Niezbyt eleganckim skinieniem głowy zachęcił mnie do środka. Nie kombinowałem. Posłusznie usadowiłem się na tylnym siedzeniu, a żeby było śmieszniej – dokładnie między kapralem, który otworzył mi drzwi, oraz jeszcze innym żołnierzem. Twarze mieli kamienne. Kierowcy nie widziałem, a tylko jego ponure oczy w odbiciu lusterka. Suszka przeglądał jakieś papiery i bawił się siwymi wąsami pod nosem, będąc najwyraźniej niezbyt zafascynowanym analizowanym przez siebie materiałem.

Rozedrgany samochód ociężałe zawarkotał dźwiękiem przypominającym stary odkurzacz i ruszył naprzód. Zatoczyliśmy dwie trzecie koła na łuku ronda i pojechaliśmy wzdłuż Prospektu Swobody.

– Ta noc jest jakaś dzika – mówił Suszka, nie podnosząc oczu z papierów. – Dziwne rzeczy wyprawiają się na mieście. Najpierw zerwało połączenie z Kremlem około dziesiątej, potem starszy chorąży Pietrucki wpadł do sztabu zziąjany, śmierdzący, a z ust ciekła mu ślina jak przy wściekłości, tak że w kaftanie musieli go wywieźć do wszystkich diabłów,